Numer 19 „Wolnomyśliciela Polskiego“ został skonfiskowany.

Cena 60 groszy **Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.**

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 4 **WARSZAWA — 1931 — 15 SIERPNIA** **NUMER 20**

REDAGUJE KOMITET

O „misji dziejowej“ Polski

Dawniejszej i obecnej

„Religja jest najstarszą (?) warstwą duszy polskiej“ — czytamy w jednym z podręczników szkolnych, poleconych polskiej dziatwie szkolnej przez program ministerjalny. „Najstarszej?“ — ale w stosunku do czego? I cóż my wogóle możemy wiedzieć o „najstarszej warstwie duszy polskiej“, skoro historyczne ślady naszego istnienia znajdujemy dopiero w drugiej połowie X wieku.

„Zanim zjawiło się poczucie odrębności narodowej, istniała już przynależność wyznaniowa“... Do kogo? Do Rzymu. Dlaczego? By nazywało się, że jesteśmy słowianami kultury łacińskiej. Lecz czy doszliśmy sami do tej świadomości, że religja chrześcijańska, wyznania łacińskiego, jest nam potrzebna? może zbawienna? Nie! Narzucono nam ją w sposób mechaniczny. Kazano przyjąć i już. O wolności sumienia jeszcze się wówczas w Polsce nie śniło, bo i dziś jeszcze nie chce się to pojęcie pomieścić w głowach wielu ludziom.

Mieszko wraz z żoną otrzymał od czechów tę przezorną naukę, iż lepiej być z niemcami ochrzczonymi w porozumieniu, bo poganom może być źle, jako że kościół wojujący ze stolicą w Rzymie ma na nich krucjaty. A kościół ten, dufny w słuszność sentencji ewangelicznej o jednej owczarni i jednym owczarzu-czarodzieju, tępił ogniem i mieczem każdy

ślad herezji (wyboru) i wolności sumienia, gdzie tylko dotarł zasięg jego władzy.

„Nowego“ tedy boga narzuciła nam nie świadomość i nie wewnętrzna potrzeba moralna, lecz gwałt i polityka. Pod grozą zachłanności germańskiej kazaliśmy się pokropić wodą święconą. O tej wodzie Słowacki wyraził się bardzo nieprawomyślnie w „Beniowskim“. Ale że był poetą i to genjalnym i jak na swoje czasy był myślicielem bardzo niezależnym, to mu było wolno, zwłaszcza, że w Paryżu w r. 1840 nie obowiązywał art. 73 carskiego kod. karn. jak to obowiązuje w dzisiejszej Polsce. Bo np. już takiemu ks. Rogowskiemu, proboszczowi parafji narodowej w Markuszowie (zob. W. P. Nr. 20 z r. ub.) już tego samego powiedzieć nie było wolno, choćby słowami samego wieszcza. Dostał nieborak niędawno 2 miesiące więzienia, co już jest postępem, bo mógłby był dostać 4 lata, a przed stu pięćdziesięciu laty — poszedłby na stos.

Rzym nas przyjął, jako nawróconych. Co jest nieścisłe, bo nie byliśmy przedtem chrześcijanami. Nie było więc żadnego „nawrotu“.

Ale tak się mówi, albowiem kler wychodzi z założenia teorji ojca kościoła, Tertuljana, że każda dusza jest chrześcijanką i każda ma nieprzeparty pociąg do katolicyzmu. Czesi i niemcy uczyli nas katechizmu. A lud słuchał tych mądrości, jak bajki o żelaznym wilku. Usunięto dawny politeizm (wielobóstwo) pogański, a zaprowadzono politeizm chrześcijański. W zasadzie nic się nie zmieniło. Zmieniła się tylko zewnętrzna forma kultu, który w wielu wypadkach przypominał dawny kult pogański. A to, co się w tym nowym kulcie nie mieściło, było zachowywane w życiu, w zwyczaju i obyczaju, poza kościołem i jego obrzędami. I tak jest niemal do dnia dzisiejszego. Stare bóstwa były niewątpliwie pradziadom święte. Ale nadeszły inne czasy. Wnuki musiały wyrzec się dziada i pradziada, bo tak było w Niemczech, we Francji, w Italji. Dobrze więc. Niech padnie Kupała, a Chrystus zmartwychwstanie! Ale ciemne masy tego nie zrozumiały. Jako przykład: nawrót do pogaństwa za Masława.

Polityka tymczasem robiła swoje. Jak robiła? wiemy o tem tylko o tyle, o ile kroniki, pisane przez zakonników, nie kłamały. A że kłamały, świadkiem „błogosławiony“ zmyślacz, Wincenty Kadłubek. Słowacki jednak znał się nieco na tem i pod wpływem intuicyjnie odczutej prawdy historycznej dał scenie polskiej „Lillę Wenedę“, a w niej św. Gwalberta, misjonarza-nawracacza i jego „księżego sługę“, Slaza z długim, czerwonym nosem i z typową chłopską „wiarą w wątpieniu“. Chytra to była sztuka, miał niucha, spryt życiowy i głodny żołądek. Coś pośredniego pomiędzy chłopem, chudopachołkiem, a szlachcicem, powiedzmy: ćwierćinteligent, żak-mieszczuch, zdany w życiu na własną przemyślność. Czarodziejska harfa Derwida była dlań tylko

sprzętem do przeniesienia z Rzymskiej wieży Lecha do obozu tępionych najezdniczym mieczem Wenedów. Nie wierzył, ani w „boskie przykazania“, ani w aureolę świętego Gwalberta, gdyż podobne iskierki widział wylatujące z sierści napuszonego kota. Dla nadprzyrodzoności nie miał najmniejszego zrozumienia i odnosił się do niej podejrzliwie. W swoim bezbożniczym racjonaliźmie spalił celę swego pana, uczynioną z „czaszki olbrzyma“, w której kazano mu się modlić i poszedł szukać lepszej służby, gdzieby mógł jadać nietylko same korzonki. To prototyp szlachetki-pieczeniarza, trzymającego się pańskiej klamki.To heretyk in spe i nowinkarz, co to próbował w życiu i „chrześcijańskiej paszy“ i „rycerskiego chleba“, gotów spłakać się na zawołanie, jak Matuszewicz, autor pamiętników z czasów saskich, byleby tylko dostał dobry obiad „za to, że się spłakał“. Slaz, to typ, który powinien być w Polsce dopiero wychowany pod względem umysłowym i moralnym. Pozostał jednak dotąd takim, jakim go matka natura wydała na świat, pomimo dziesięciu wieków misyjnej pracy nad nim różnych św. Gwalbertów.

Ale Rzym-polityk nie poto nas ochrzcił, aby nas budować naukami Kazania na Górze. Rzymowi-politykowi potrzebni byliśmy, jako realna siła przyrodzona, zaprzągnięta w służbę głoszonej przez kościół nadprzyrodzoności. Powierzył nam więc pewną „misję“ i powiedział: „morduj, nawracaj i podaj dalej na Wschód tę złotą kulę, którą otrzymałeś bezpośrednio od czechów, a pośrednio od niemców“. Dodano nam do pomocy krzyżaków, których sprowadzono do Polski na jej nieszczęście i całej Europy. I szły krucjaty najpierw w kierunku Prus i Litwy. W imię czyjego dobra? Rzymu. W imię jakiej idei? Rzymu. W imię jakiej ziemi? Bezrobotnych rabusiów, co mieli już wówczas wielkie posiadłości we Włoszech, w Niemczech i na Sycylji, a ostatnio zostali wypędzeni z Węgier, gdzie po wytępieniu dzikich Kumanów, zaczęli się dobierać do rdzennych, dawno ochrzczonych węgrów. Oto w ubiegłym miesiącu hakatystyczno-hitlerowskie Prusy Wschodnie obchodziły 700-lecie ich przyjścia do Ziemi Chełmińskiej na mocy przywileju, nadanego ich mistrzowi, Hermanowi Balke, przez Konrada Mazowieckiego (w czerwcu 1230 r. w Kruszwicy). A dalej co? To, że z tymi gośćmi musieliśmy się zmagać orężnie po wielokroć. W imię czego? Własnej ziemi, własnej ludności, własnego bezpieczeństwa, bo po wytępieniu pogańskich prusaków, wzięli się oni do nas. Ale to nie koniec. Biliśmy pogańskich pomorzan, i biliśmy chrześcijańskich krzyżaków. „Co, u licha?“ — myślał sobie chłop. Tamtych w imię krzyża, mogę ostatecznie zrozumieć. Ale czy i tych nawracamy w imię tego samego krzyża?

W tem tkwiła historyczna kolizja. Krzyż co innego, a Polska co innego. Nawet papieska dialektyka na nic się tu nie przydała. Doszło do Grunwaldu. Ale to nie otworzyło

oczu Polsce całkowicie: brnęliśmy dalej wzięci w dwa kamienie młyńskie — polityki państwowej i polityki wyznaniowej.

Po Grunwaldzie następuje jednak w Polsce chwila zastanowienia. Zjawiają się u nas ludzie, jak partja husycka, a następnie tacy, jak Ostroróg, Rey, Modrzewski, którzy zaczynają działać w kierunku dośrodkowego zorjentowania Polski t. j. ku samej sobie. Wtedy politykujący Rzym, zobaczywszy co się święci, nasłał na Polskę jezuitów, jako że dawni krzyżacy, lepiej od nas w swojej masie wyrobieni politycznie, nie pozwolili Rzymowi grać sobie dłużej po nosie — temu Rzymowi, który nas dalej za nos wodził i dotąd wodzi, i opowiedzieli się po stronie Reformacji wraz z całą Północą Europy. Z jezuitami przyszedł Skarga, „największy wichrzyciel Rzeczypospolitej", przyszło ogłupienie jezuickie pod protektoratem Zygmunta III, jezuity w koronie. I ci nam znowu przypomnieli o naszej „misji". Zaawansowaliśmy wówczas na „przedmurze chrześcijaństwa", jak ks. Józef Poniatowski na marszałka Francji w przeddzień śmierci w Elsterze. I znowu zaczęły się wojny misyjne Polski: moskiewskie, kozackie, szweckie, tureckie, tatarskie. To na zewnątrz, a u siebie w domu tępiliśmy nadto misyjnie arjan i żydów. Na tronie osadziliśmy nawet francuskiego degenerata, który brał udział w Rzezi hugenotów, aby się lepiej przypodobać Rzymowi.

Europa pracuje, myśli, oświeca się, a my z „Bogarodzicą" na ustach, bronimy Europy przed nią samą i niepotrzebnie ociekamy krwią wbrew swoim własnym najżywotniejszym interesom państwowym. I oto ani obejrzeliśmy się, jak nam wyrosły na Wschodzie i Zachodzie dwie wrogie potencje: protestanckie Prusy i schyzmatycka Rosja. Upewnieni przez „złotoustego" Skargę, że furda nam dbać o ziemską ojczyznę, bo gdy tę stracimy, przy wiecznej się ostoim, krwawiliśmy się w interesie tej „wiecznej ojczyzny", którą reprezentował papież rzymski. On z naszej krwi ciągnął zyski, a z naszego osłabienia swoją polityczną siłę, my zaś wychowaliśmy sobie wrogów, którzy pewnego dnia zlikwidowali naszą rolę „misyjną" w postaci rozbiorów, poczem wykreślono nas z mapy Europy. A zdradziecki Rzym, widząc nasze osłabienie od zbytniego upływu krwi, którą Polska wylała w jego sprawie, kazał nas z gestem dawnych Cezarów wyrzucić z areny świata, jak konającego gladjatora do podziemnego cuniculum. Rzym nietylko nie przemówił jednem słowem w naszej obronie, ale nawet rad był z tego, że zczeźniemy z widowni świata, bo nuż przypomnielibyśmy mu kiedy o naszych dla niego zasługach i zażądali odpowiedniej za-

płaty? A Rzym nie lubi ani płacić, ani dawać. On tylko chce brać. Dlatego robił wszystko, aby nas utopić. Papież Klemens XIV pisał do Marji Teresy przed pierwszym rozbiorem, że „pożądaną jest rzeczą rozbiór Polski dla interesów religji“ (czytaj: papieża), a Niemcewicz w „Pamiętnikach czasów moich“ (Paryż 1848) piszę: „Długo sumienna Marja Teresa wzdrygała się na czyn tak bezecny (rozbiór Polski): syn jej Józef i nieprzezorny Kaunitz (kanclerz) przemówili spowiednika jej jezuitę, który jej na tę zbrodnię dał rozgrzeszenie. Wtenczas Marja Teresa wzięła sobie na cześć swą najpiękniejsze Polski prowincje i sól“. Zresztą „Wolnomyśliciel Polski“ pisał już o tem kilkakrotnie (np. w Nr. 6/31 str. 124). Ten spowiednik-jezuita działał zgodnie z ideologją złotoustego Skargi. Bo co polakom po ziemskiej ojczyźnie, skoro niebieska ich nie minie? W tych warunkach katolickie rozgrzeszenie najdrażliwszego sumienia staje się niesłychanie proste i łatwe, zwłaszcza, gdy się do tego weźmie jeden z towarzyszów jezusowych, znanych specjalistów od nadawania giętkości sumieniom ludzkim i pokonywania skrupułów moralnych. Dlatego Hiszpanja, wchodząca na drogę politycznego i moralnego odrodzenia, właśnie od nich zaczęła tępienie u siebie miazmatów papieskiej zaświatowości.

Pogodziwszy się z naszą niewolą, Rzym jął teraz stroić namiętne koperczaki i umizgać się do naszych wrogów, jako że ci, skutkiem tego, iż nie wysługiwali się całemi stuleciami, tak jak my, jego interesom, nie ogłupiali swych dzieci w jezuickich szkołach, nie słuchali kazań Skargi, mieli siłę. A Rzym zawsze ją czcił. Dlatego nawet prawowierny Norwid nie wahał się napisać „Południe! klaszczesz mi, bo klaszczesz mocy!“ Nam zaś kazał Rzym „czcić cara i wierzyć“ i groził nam klątwami, jeżeli będziemy się buntowali przeciwko prawowitej władzy, pochodzącej od boga. I trzeba przyznać, że tego jednego nam solennie dotrzymał.

Według bowiem teorji tego zawodowego moralisty, wszelka władza ma pochodzić od boga, nawet niesprawiedliwa. Ale przeciwko władzy faszystowskiej sam się teraz buntuje, acz i ta przecież musi pochodzić od boga.

I tak oto skończyła się misja dziejowa Polski szlacheckiej, nazwanej przez jedno z pism emigracyjnych Don Kiszotem katolicyzmu.

To nic, że zaczął on znów Polskę traktować jak swego murzyna, fagasa i apelować do jej „zawsze wiernego" donkiszotyzmu w sprawach, ocierających się o katolicyzm. To jego rola. Ale polski Don Kiszot bądź co bądź już trochę wytrzeźwiał i nie ogląda się zaraz za Rosynantem, gdy papież podjudzi świat tą czy inną krucjatą modlitw do zbrojnej awantury o wyzwolenie uciśnionych przez sowiety księży katolickich. Ten Don Kiszot już dziś wie, że taka gra nie warta jest świeczki i woli nie być akuszerką skutków modlitewnej magji. Powiada sobie: skoro twoja modlitwa wszystko może, niech i z tem się załatwi bez mego współudziału i mego nadstawiania karku. Sceptycyzm polskiego Don Kiszota jest dziś bardzo widoczny. Czeka on na cud i wie zgóry, że się ten cud nie stanie bez niego.

Musi się wykąpać i wymyć w czystem strumieniu współczesności, pozbyć się strupów, kalających jej ciało i włożyć na siebie strój odświętny nowych czasów. Polska już ma dość tego zaświatowego niechlujstwa w myślach i etyce! Musi być wolną i należeć całkowicie do samej siebie. A w takiej Polsce nie może być więcej miejsca dla wyklinaczy powstań polskich, jako dla zdrajców kraju. Nie dla nich już ani polski chleb, ani polskie powietrze. Dlatego wołamy:

Precz z konkordatem i jego skutkami!

Bo dziejową misją dzisiejszej Polski może być tylko misja prowadzona w duchu Wolności, Sprawiedliwości i Postępu. A przedewszystkiem ta, jaką polska sama sobie wyznaczy, gdy lepiej sobie uświadomi, czem jest i czem być powinna w gromadzie państw kulturalnych, do których należy choćby przez swój współudział w masońskiej Lidze Narodów. Ta misja może wypływać tylko z jej wewnętrznej potrzeby, a nie z czyjegokolwiek nakazu. Może mieć na względzie interes całej ludzkości, a nie interes pewnego tylko regimu, czy pewnej tylko doktryny.

Dlatego, kliko watykańska, próżna jest dziś twoja fatyga! Nie doprowadzisz dziś już Polski ani do wojen religijnych, ani choćby do antyheretyckich awantur. Religja, która już na Wschodzie i Zachodzie stała się sprawą prywatną, staje się nią i w Polsce i jest rzeczą nie do pomyślenia, aby rząd polski, acz w nim podsekretarzuje jeden z twoich ludzi, zechciał dziś robić z religji rzecz publiczną.

Z chwilą zaś, gdy religja, którą obsługujecie i z której żyjecie, uprywatni się całkowicie, świat przestanie się z wami liczyć i zostaniecie wówczas całkowicie wyrzuceni poza nawias życia, jak już was wyrzucono gdzieindziej.

Koniec wasz zbliża się nawet w Polsce i to zbliża siedmiomilowemi butami.

Dr. Lux

Z powodu ankiety

Napływające zewsząd odpowiedzi na przesłaną przy n-rze 18 „Ankietę w sprawie utraty wiary religijnej" świadczą, jak ważnem było poruszone w tej ankiecie zagadnienie. Widzimy, z jaką chęcią a niekiedy z radością zareagowali nasi czytelnicy na powyższe wezwanie. Mamy wrażenie, że czekali oni poprostu na podobną okazję, dającą im sposobność uczynienia szczerego wyznania ze swoich najintimniejszych przeżyć wobec kogoś, kto ich wysłucha i — zrozumie.

Otrzymane dotąd odpowiedzi są to prawdziwe spowiedzi z całego życia, uczynione wszakże nie na ucho i w tajemnicy, lecz szczerze i niemal publicznie. Nie otrzymaliśmy dotąd odpowiedzi, któraby nie zawierała wyrazów radości i szczęścia z powodu zerwania z gnębiącemi każdego myślącego człowieka wierzeniami religijnemi.

Jak zaznaczyliśmy w ankiecie, otrzymane odpowiedzi nie mają służyć, jako niesłychanie ciekawa i pouczająca lektura, lecz jako materał do pracy naukowej, której się podjął jeden z młodszych psychologów. Będzie to pierwsza tego rodzaju praca w polskiej literaturze naukowej i jedna z nielicznych w literaturze ca-

łego świata. Aby tego rodzaju praca miała jak największą doniosłość i wartość naukową, uczony, który ma ją stworzyć i to stworzyć z czegoś, a nie z niczego, jak bóg biblijny, musi rozporządzać materjałem możliwie ścisłym. Chodzi więc o historję przeżyć religijnych każdego z odpowiadających na ankietę, opowiedzianą możliwie dokładnie i w całej swej bezpośredniości, tak jak te przeżycia się odbywały.

Dotychczasowe odpowiedzi brzmią niemal rewelacyjnie. Są to prawdziwe tragedje życiowe ludzi, którzy, zmuszeni do życia od dzieciństwa pod terrorem t. zw. tradycji wyznaniowej, będącej dziełem kapłańskiej polityki, tradycji w wysokim stopniu nietolerancyjnej i bezwzględnej, musieli potem wyłamywać się z niej nieraz w sposób bolesny i w wielkiej tajemnicy przed otoczeniem, które ich nierozumiało i za „inność“ przekonaniową piętnowało.

Było to nieraz całożyciowe odrabianie gwałtu dokonanego na nich w dzieciństwie. To też biorąc rzecz ze stanowiska sprawiedliwości państwo powinno jaknajprędzej wprowadzić świeckie akta stanu cywilnego, aby zrzucić z siebie odpowiedzialność za tego rodzaju gwałt prawny na młodym obywatelu. Obywatel ten ochrzczony lub obrzezany z polecenia swych rodziców będzie już wtedy czuł ewent. urazę tylko do nich a nie do państwa jako takiego.

Najliczniejsze są wyznania osób, wychowanych b. religijnie, głównie przez matki, i w młodości przez to b. pobożnych, a które w miarę rozwoju intelektualnego dochodziły bądź do własnego poglądu na kościół i religję bądź do całkowitej bezreligijności. Że tego rodzaju wyznania są najliczniejsze, nie należy się dziwić, gdyż wobec przymusu religijnego w szkołach i wszechwładzy kleru, wszyscy byliśmy wychowywani na jedno kopyto, czyli innemi słowy: gwałt był ogólny.

Ciekawe są również odpowiedzi dzisiejszej młodzieży, zwłaszcza młodzieży szkolnej. Tu już 17-o i 18-oletni chłopcy są ateuszami i czekają tylko odpowiedniej chwili, aby wystąpić z kościoła. Wielu przyznaje, że zmieniło swoje poglądy pod wpływem czytania „Wolnomyśliciela Polskiego“ tak jak starsze pokolenie zawdzięcza swoją wolność myślową głównie „Myśli Niepodległej“ A. Niemojewskiego i ruchom rewolucyjnym z lat 1905—6.

Jest to już dziś prawem psychologicznym, że utrata wiary religijnej idzie równolegle z rozwojem intelektualnym i ze zmianą pojęć religijnych na naukowe. Tam zaś, gdzie te pojęcia (naukowe) zagościły od samego początku — dzięki postępowym, światłym i myślącym rodzicom i wychowawcom — już

sam widok ludzi wierzących, a zwłaszcza właściwe im uwstecznienie umysłowe, odstrasza ludzi inteligentnych od kościoła, religji i wszelkich kultów. Bo wszelka t. zw. „cześć religijna“ traci raz na zawsze grunt pod nogami wszędzie tam, gdzie do głosu przychodzi krytyczne myślenie i naukowe wyjaśnienie zjawisk. A jeżeliby nawet zjawiły się w pewnych naturach skłonności do mistycyzmu (bo i te możliwości psychologja musi wziąć pod uwagę), nie będzie to już mistycyzm św. Teresy, czy Tomasza z Kempis, lecz raczej mistycyzm Towiańskiego, Słowackiego, Saint-Martina, lub Comte'a. A raczej tego ostatniego.

To też dzieło, ktore na podstawie naszego ankietowego materjału zostanie napisane, wykaże niewątpliwie całą fałszywość twierdzenia, że człowiek ma być z natury swojej pobożnym i skłonnym do oddawania czci religijnei nawet przedmiotom martwym. Z pracy tej, gdy wyjdzie drukiem, będziemy mogli się jeszcze raz przekonać, że cała t. zw. religja, to sztucznie wyhodowany i sztucznie podtrzymywany płód kościelnej tresury, w czem są klerowi pomocne głównie kobiety— matki. Na planowość tej tresury zwracaliśmy już nieraz uwagę, zwłaszcza przy omawianiu ministerjalnego programu t. zw. religji w szkołach, gdzie stale kładziony jest nacisk na nałogi religijne. Chodzi tu więc klerowi głównie o formę („wierz sobie i w kozła, bylebyś mi dziesięcinę płacił“), a nie o ewent. treść uczucia religijnego. Ale i to jest w wielu wypadkach dla kleru zawodne, bo gdy ta treść choć małej ulegnie zmianie a zawsze pod wpływem samodzielnego krytycznego myślenia — zmienia się momentalnie również i forma, a z dawnych nałogów zazwyczaj nic nie pozostaje. Żadna też z dotąd otrzymanych odpowiedzi nic nie mówi o t. zw. „nawrotach do wiary“, choć w początkowych procesach wyzwalania się duchowego przejawiały się u niektórych pewne — przejściowe zresztą — wahania.

Pożądanem jest również dla całości zagadnienia, aby i ludzie wychowani od dzieciństwa areligijnie (bo jak się okazuje i takich w Polsce było sporo) również nadesłali nam swoje zwierzenia, jak np. reagowali w życiu na rozmaite przejawy życia religijnego innych ludzi i t. p.

Nie potrzebujemy chyba przytem dodawać, że wszelkie zastrzenia odpowiadających na ankietę co do poufności pewnych szczegółów, będą całkowcie uszanowane.

Komu byłaby potrzebna większa ilość egzemplarzy ankietowych celem rozdania znajomym, niechaj napisze nam bezzwłocznie.

Redakcja

Renesans Hiszpanji

To, co się stało w ostatnich miesiącach w Hiszpanji w stosunku do kleru i kościoła, było dla całego świata prawdziwą niespodzianką.

Ten nieoczekiwany obrót rzeczy, ten kolosalny, niemal jednomyślny wybuch wściekłości, buntu, oburzenia, który objął i przeniknął jakby iskrą piorunową cały obszar Hiszpanji i w ciągu paru dni dokonał tak niesłychanego w dziejach naszego globu pogromu zaświatowości, jakiego nie znała nawet rewolucja bolszewicka w Rosji — wprawił w stan prawdziwego osłupienia nietylko polityków, ale i wolnomyślicieli.

Był to grom z jasnego nieba, który jednych przeraził, a innych ogłuszył i sparaliżował.

Naogół wiadomą było rzeczą, że dyktatura Primo de Rivery, a następnie gen. Beranguera doprowadzić musi prędzej czy później do obalenia monarchji i wprowadzenia w Hiszpanji ustroju republikańskiego. Było również rzeczą wiadomą, że ten nowy ustrój napewno weźmie krótko, na mundsztuk watykańskich zuchwalców i nie pozwoli rozrastać się im w dotychczasowych rozmiarach, jak pasorzytnemu zielsku lub niszczącej winnice filokserze, ale że mimo to — nowa republika będzie naogół postępowała w stosunku do kleru w sposób umiarkowany, choć stanowczy; że ograniczy wpływ kleru na wychowanie młodych pokoleń i będzie starała się wchodzić stopniowo na drogę demokratyzacji i postępu — wobec nędzy, ciemnoty mas i wielkiego wpływu kleru.

Tak sądziliśmy wszyscy i tak niewątpliwie chciał postąpić rząd tymczasowy, którego pierwsze posunięcia w stosunku do kościoła szły właśnie w tym kierunku. Stąd jesteśmy skłonni mniemać, że wypadki, jakie miały miejsce w dniu 11 maja i dni następnych, w ciągu których wychowana przez kler katolicki i po polsku „zawsze wierna" ludność hiszpańska, rzuciła się na kościoły, klasztory i pałace biskupie, paliła na stosach święte obrazy, chorągwie, mszały, sprzęty liturgiczne, rozbijała cudowne posągi, niszczyła ołtarze i paliła kościoły, których w całej Hiszpanji puściła z dymem około dwustu — były również niespodzianką dla samego rządu tymczasowego, który mógł znać daleko lepiej od nas potrzeby i nastroje mas.

Tak, tego się nikt nie spodziewał, zwłaszcza w naszej nadwiślańskiej Hiszpanji, której stosunki wewnętrzne są tak podobne do hiszpańskich.

Byliśmy nawet skłonni przypuścić, że Hiszpanja, stawszy się republiką, weźmie tu i owdzie odwet na swych wielowiekowych tyranach z pod znaku krzyża, ale nikt z nas nie mógł przypuszczać, że weźmie go w takich rozmiarach i z taką furją.

Osłupienie, jakie ta furja i jej skutki uczyniły w Europie, sprawiło niewątpliwie to, że nawet na Zachodzie mało kto miał odwagę zabrać głos i ocenić należycie światową doniosłość tego co się stało w Hiszpanji. Że nikt, że żaden z polskich publicystów nie zabrał w tej sprawie głosu u nas, to zupełnie zrozumiałe. Najwyżej ten i ów z antyklerykałów i ateuszy powiedział sobie w duchu: „A dobrze wam, huncwoty!" Ale nikt nie powiedział tego na głos i publicznie.

A dziejowe znaczenie pogromu kościelnictwa w Hiszpanji polega przedewszystkiem nie na liczbie spalonych objektów kościelnych, lecz na tym głębokim podświadomym procesie jaki się dokonywał w skurczu zaciśniętych zębów w psychice hiszpańskiego narodu, chcącego (zapewne również podświadomie) krótkim rewolucyjnym czynem pozbyć się raz na zawsze swego najstraszniejszego tyrana i wroga wszelkich ruchów wolnościowych.

Hiszpanja, która skutkiem niebywałego ucisku i terroru kościelnego, nie przeżyła, jak wiemy, we właściwym czasie, ani Humanizmu, ani Odrodzenia, ani Reformacji, ani Wielkiej Rewolucji, ani nawet Wiosny Ludów, tak jak to przeżyły te procesy dziejowe inne ludy Europy—zrozumiała w sposób raczej instynktowny — swoje wiekowe zaniedbanie i postanowiła przeżyć je w niecierpliwym tempie rewolucyjnym. To nic, że przytem wiele wypadków mogło mieć charakter niepożądany: w ostatecznym wyniku wszystkie były celowe i skuteczne.

Był to gwałtowny — i stąd nieprzebierający w środkach — otrząs narodu, który chce żyć i należeć do rodziny ludów przodujących.

Ten spóźniony swój Renesans będzie naród hiszpański kiedyś błogosławił, czcił i z dumą wspominał, jako chwilę przełomową w swych dziejach, będących dotąd tylko wielowiekową wegetacją, zacofaniem i przekleństwem. W powstałym wskutek tego chwilowym zamęcie naród hiszpański nic właściwie nie stracił, a zyskał b. wiele nawet w oczach swoich ujarzmicieli. Poczucie sprawiedliwości wszechludzkiej nie zapomni Hiszpanji tego nigdy, że zdemaskowała w sposób tak dobitny i radykalny zuchwałe samochwalstwo najbardziej aroganckiego, agresywnego i zbrodniczego kleru, jakim jest w swej dziejowej masie kler katolicki, o jego talentach wychowawczych i umoralniającym wpływie.

Przez swój żywiołowy odruch antyklerykalny lud hiszpański dowiódł, że niemoże być odpowiedzialnym i nie przyjmuje do wiadomości tego, co na jego rachunek czyniła przez siedem wieków — nietyle przenajświętsza, co przenajkrwawsza inkwizycja papieska i że niesłusznie był uważany w opinji świata za współwinnego jej ohydnych zbrodni, on, który pierwszy z narodów świata mordował i sztyletował inkwizytorów papieskich (między in. Piotra de

Planedie, Piotra Cadiretto), przysyłanych do Hiszpanji dla tępienia ogniem i torturami wolności myśli i wolności sumienia i któremu taż inkwizycja zamordowała ostatniego proroka wolności, Franciszka Ferrera.

Humanizm, Odrodzenie, Reformacja, złamały potęgę polityczną papiestwa i wybiły namiestnikom chrystusowym z głowy raz na zawsze światowładcze uroszczenia, a jeżeli mimo to śnili oni dalej na jawie i we śnie, że znów wezmą cały świat za czub, to Rewolucja francuska oblała ich strumieniem zimnej wody i szepnęła do ucha przestrogę: „Ani marz!". Skostnialce jednak watykańscy marzyli dalej, bo mieli za sobą... Hiszpanję.

Dokonany w naszych oczach renesans narodu hiszpańskiego zadał tej potędze i uroszczeniom cios śmiertelny.

To, co było już nie wróci. Z tą chwilą zaczyna się agonja papizmu. Ostatnie olejem św. namaszczenie, którem ma być jedna jedyna tylko Polska — już temu beznadziejnemu sklerotykowi niewiele pomoże. Jego dni są policzone.

Przyszłość należy do nas!

Henryk Wroński

Goethe o naturze

„O naturze wypowiedział on zdanie najlepsze, jakie kiedykolwiek wypowiedziano".
E m e r s o n: „Przedstawiciele ludzkości" — Goethe, czyli pisarz.

P r z y r o d a! o t a c z a n a s o n a i d z i e r ż y w s w y c h r a m i o n a c h — a my n i e z d o l n i j e s t e ś m y w y r w a ć s i ę z j e j u ś c i s k u, i niezdolni głębiej w nią wniknąć. Nieproszenie i niepostrzeżenie p o r y w a n a s o n a w k r ą g s w e g o t a ń c a i wiruje z nami, aż zmęczeni wypadamy z jej objęć.

Stwarza ona wiecznie nowe postacie: co jest, nie było jeszcze nigdy, co było, nigdy już nie wróci; wszystko jest nowe, a jednak zawsze na starą modłę.

Żyjemy wśród niej, a obcy jej jesteśmy. Rozmawia ona z nami bezustannie, a s w e j t a j e m n i c y n a m n i e z d r a d z a. Działamy stale na nią a jednak ż a d n e j m o c y n a d n i ą n i e m a m y.

Zdaje się, jakoby jedynym jej celem była jednostka, a przecież za nic ma jednostki. B u d u j e c i ą g l e i b u r z y c i ą g l e, a w a r s z t a t j e j j e s t n i e d o s t ę p n y.

Żyje ona w samych tylko dzieciach, a matka, gdzież ona jest? Każde z jej dzieł jest odrębne, każde z jej zjawisk wymaga odrębnego pojęcia, a przecież w s z y s t k o stanowi j e d n o ś ć.

Daje ona widowisko; czy sama je widzi? nie wiemy, a jednak gra dla nas, którzy w kącie stoimy.

Jest w niej w i e c z n e ż y c i e, s t a w a n i e s i ę i p o r u s z a n i e, a jednak nie posuwa się ona. W i e c z y ś c i e

przeobraża się i niema w niej chwili spoczynku. Nie zna pojęcia „zostań!“ i przekleństwo jej zawisło nad spoczynkiem. Jest stała! Jej krok jest miarowy, a jej wyjątki — rzadkie, jej prawa — niezmienne.

Myślała i wciąż przemyśliwa, ale nie jak człowiek, lecz jako przyroda. Zachowała dla nas myśl odrębną, wszechogarniającą, której nikt nie może odgadnąć.

Wszyscy ludzie są w niej i ona we wszystkich. Igra ze wszystkimi przyjaźnie i cieszy się im większe zwycięstwo kto nad nią odnosi. Igra z wieloma tak skrycie, iż kończy z nimi swą zabawę nim się spostrzegą.

Jest uosobioną próżnością, lecz nie dla nas, dla których stała się rzeczą największej wagi.

Każdemu dziecku pozwala majstrować nad sobą, każdemu głupcowi sądzić siebie, tysiącom bezmyślnie przejść po sobie i nic nie widzieć — i ze wszystkich ma pociechę i na nikim nie traci.

Jest się posłusznym jej prawom nawet wtedy, gdy się im opieramy. Działa się, łącznie z nią, nawet wówczas, gdy się chce przeciw niej działać.

Wszystko, co ona daje, zamienia w dobrodziejstwo, gdyż czyni je wprzód niezbędnem. Zwleka, by jej pożądać; spieszy, by się nią nie nasycić.

Nie mówi, nie wydaje żadnego głosu, lecz stwarza języki i serca, przez które przemawia i czuje.

Jej koroną jest miłość. Tylko przez nią można się do niej zbliżyć. Czyni ona przepaści między wszystkiemi istotami, a wszystko chce się splatać. Wszystko wyodrębniła, by wszystko złączyć w jedno. Kilkoma haustami z czary miłości wynagradza za życie pełne mozołu.

Ona jest wszystkiem. Sama siebie wynagradza i sama siebie karze, cieszy się i sama siebie dręczy. Jest ostra i łagodna, miła i straszna, bezsilna i wszechpotężna. Wszystko stale w niej się mieści. Nie zna ona przeszłości i przyszłości. Teraźniejszość jest dla niej wiecznością.

Ona jest łaskawa. Wielbię ją wraz ze wszystkiemi jej dziełami. Ona jest mądra i cicha. Nie można zmusić jej do żadnego wyznania, ani wymóc na niej żadnego daru, którego nie da własnowolnie. Jest chytra, lecz z dobrym zamiarem, a najlepiej jest nie spostrzegać jej chytrości.

Nawet to, co jest najnienaturalniejsze, jest naturą; nawet najbardziej nieokrzesane filisterstwo ma w sobie coś z jej genjusza. Kto nie widzi jej wszędy, ten nie widzi jej należycie.

Sama siebie kocha i wieczyście niezliczoną mnogością ócz i serc sama do siebie przylgnęła. Rozdzieliła się, by rozkoszować się sama sobą. Wciąż każe wyrastać nowym smakoszom, nienasycona w udzielaniu się.

Złudzenie sprawia jej uciechę. Kto je w sobie i w innych rozwiewa, tego karze, jak najsroższy tyran. Kto z ufnością postępuje za nią, tego jak dziecię do serca przyciska.

Niezliczona jest ilość jej dzieci. Żadnemu z nich nie skąpi we wszystkiem, lecz ma swych ulubieńców, których rozrzutnie obdarza i którym wiele poświęca. Wielkość wzięła w swą opiekę.

Wydmuchuje swe stworzenia z nicości i nie powiada im, skąd się biorą i dokąd idą. One powinny tylko biec; drogę zna ona.

Posiada ona wiele sprężyn, lecz nigdy niezużytych, zawsze czynnych, zawsze rozmaitych,

Jej widowisko jest zawsze nowe, ponieważ stwarza wciąż nowych widzów. Życie jest najpiękniejszym jej wynalazkiem, a śmierć jest jej fortelem, aby posiadać wiele życia.

Spowija ona człowieka mrokiem i prze go wieczyście do światła. Robi go pochyłym ku ziemi, gnuśnym i ciężkim i wciąż go znowu otrząsa.

Stwarza potrzeby ponieważ lubi ruch. Dziw, że wszystek ten ruch zapomocą tak nielicznych środków osiąga. Każda potrzeba jest jej dobrodziejstwem: prędko zaspokojona, prędko znów wzrasta. Jedna potrzeba więcej — nowe źródło przyjemności; lecz prędko dochodzi ona do równowagi.

W każdej chwili nabiera tchu do najdalszego biegu i w każdej chwili jest u celu.

Jest ona cała, a jednak wciąż nieskończona. Jak postępuje, tak zawsze może postępować.

Każdemu ukazuje się w odmiennej postaci. Kryje się w tysiącach nazw i określeń i jest zawsze ta sama.

Ona mnie tu postawiła, ona mnie też stąd wyprowadzi. Powierzam jej siebie. Niechaj mną rozporządza! Nie będzie ona czuć nienawiści do swego dzieła. Nie ja mówiłem o niej. Nie, co jest prawdą i co jest fałszem wszystko ona wyrzekła. Wszystko jest jej winą, wszystko jest jej zasługą.

Przełożył *Stefan Frycz* [1])

---

[1]) Wyjęte z „Wyboru myśli prozą“ Lwów 1910, str. 106 i n.

Jan Wolfgang Goethe (1749 — 1832), najgenjalniejszy z poetów niemieckich, autor „Fausta“, „Wilhelma Mistrza“, „Hermana i Doroty“, „Cierpień młodego Wertera“, „Powinowactwa z wyboru“, „Goetza z Berlichingen“, „Egmonta“, „Tassa“, „Ifigenji“, „Pandory“, „Prometeusza“ i w. in. Był nietylko wielkim poetą, lecz i przyrodnikiem. Liczne są jego listy. W swoich poglądach filozoficznych pozostawał pod wpływem potępionego przez kościół panteizmu Spinozy, to znaczy, że dla Goethego, jak i dla Spinozy i G. Bruna, przyroda jest bogiem, a bóg przyrodą, poza którą niema nic (panteizm — wszechboskość lub: wszystko jest bogiem) bez podziału na stwórcę i stworzenie. Jest ona wszystkiem, wszystko do niej należy, wszystko w sobie mieści („otacza nas i dzierży w swych ramionach“ bez możności „wyrwania się z jej uścisku“, t. j. wyjścia

poza naturę). Należą do niej nawet rzeczy, które nazywamy „nienaturalnemi“, bo w naturze może być wszystko naturalne, a więc ani nienaturalne, ani nadnaturalne, jak o tem nas zapewnia kler żydowsko-chrześcijański, który broni do upadłego „nadnaturalności“, wzgl. „nadprzyrodzoności“, bo nadprzyrodzoność jest tą fikcyjną dziedziną, w której się mają znajdować wszystkie inne teologiczne kłamstwa i fikcje, począwszy od boga, raju, piekła, czyśćca, aniołów, djabłów, świętych i potępionych, czyli całego t. zw. pozagrobowego życia. Pozwala się ona pojmować, jak kto chce i jak sobie życzy. Nie dba o to, bo ona tylko jedna może wiedzieć czem jest, o ile może ona wiedzieć o czemś na nasz ludzki sposób. Jest jednością, (monizm) i nie zna przestrzeni ani czasu: trwa wiecznie, jest wszędzie („teraźniejszość jest jej wiecznością“). Jest zamknięta i skupiona w sobie i nikomu nie zdradza i nie objaśnia swych tajemnic — nawet klerowi („warsztat jej jest niedostępny“). Nie zna ona spoczynku: zawsze coś tworzy i burzy (przetwarza). Jest matką wszystkiego, co żyje („wszystkich dzieci“) choć nikt z nas nie wie, jak powstało samo życie („gdzie matka?“), tak jak nie wiemy nic o naszym embrjonalnym rozwoju w łonie matki. Pod przymusem jej „praw“, które są „niezmienne“ (nie uznaje więc Goethe wolności woli) „wydmuchuje nas z nicości“ (co tu jest tylko przenośnem określeniem, bo nicości w tak pojętej naturze wogóle niema) i każe nam iść („biec“) za sobą. Dokąd? nie wiemy, bo „drogę“ (czyli ewent. cel) „zna tylko ona“. Szczęśliwymi zaś możemy się czuć jeno wtedy, gdy spełniamy jej nakazy, („każda potrzeba jest dobrodziejstwem“). Jedyny nasz cel i zadanie, to ślepe posłuszeństwo jej woli (konieczność). Jesteśmy jej posłuszni nawet wtedy, gdy chcemy działać przeciwko niej. „Najpiękniejszym jej wynalazkiem jest życie“, którego chce ona „posiadać dużo“. Chce go mieć dużo — i znów nie wiemy dlaczego? Do tego celu służy jej „miłość“, przez którą jedynie „możemy się zbliżyć do natury“ i wziąć bezpośredni udział w jej życiotwórczych zamiarach. Miłość jest takim samym „fortelem natury, jak i śmierć. Jest ona najpiękniejszym z przejawów jej „chytrości“ i podstępu. „aby mieć dużo życia“. Bo kochając i szukając rozkoszy miłosnej, mylimy się, sądząc, że tu głównie o tę rozkosz chodzi, że ona sama sobie jest celem. Tymczasem jest to tylko ... podstęp natury, bardzo chytrze („z dobrym zamiarem“) upozorowany, aby mogła ona „posiadać dużo życia“. Poeta radzi jednak przezornie, aby „nie spostrzegać jej chytrości“ bo „złudzenie sprawia jej uciechę“. Rozdzieliła się ona na poszczególne gwiazdy i planety, kształty i byty, aby się rozkoszować sama sobą. W niej jest wszystko, co wielkie, piękne i mądre („jest mądra“ „wielkość wzięła w swą opiekę“). A nie zna ani zła, ani dobra, ani winy, ani nagrody, gdyż „wszystko jest jej winą i wszystko jej zasługą“.

Red.

Myśli Goethego

Każdemu pozostaje jeszcze tyle siły, żeby wykonać to, o czem jest przekonany.

Jakże rzadko zadowolony jest człowiek z tego położenia, w jakiem się znajduje. Zawsze pragnie być w położeniu swego bliźniego, z którego tamten znowu radby się wydobyć.

W dziełach ludzkich, jak w dziełach przyrody, zamiary przedewszystkiem zasługują na uwagę.

Namiętne wybieganie myślą naprzód przemienia w rzeczywistość marzoną to, co jest naprawdę możliwe.

Spoglądamy w przyszłość tak chętnie, ponieważ niepewną jej szalę. poruszającą się tu i tam, radzibyśmy cichemi życzeniami przechylić na stronę korzyści naszej.

Człowiek jest dostatecznie wyposażony wobec wszystkich prawdziwych potrzeb doczesnych, jeśli i ufa swym zmysłom i w ten sposób je kształci, że pozostają godnymi zaufania.

W jaki sposób można poznać samego siebie? Przyglądając się sobie? — nigdy! działając? — owszem. Sprobuj spełniać swój obowiązek, a zaraz się dowiesz, coś wart. A co jest twoim obowiązkiem? — Wymagania dnia.

Powiedz mi, z kim przestajesz, a powiem ci, ktoś jest; jeśli wiem, czem się zajmujesz, to wiem już, co z ciebie być może.

„Kult ciała"

„Cóż jest potężniejszego nad człowieka!" Woła na 496 — 405 lat przed Chrystusem grecki Sofokles. Ale „nieśmiertelny" katechizm ks. Putyjatyckiego twierdzi, że człowiek składa się z c i a ł a i nieśmiertelnej duszy. Zajmijmy się więc ciałem...

Przerażają nas rozmaite mordercze wynalazki wojenne— gazy trujące, walki chemiczne, miotacze ognia i t. p. Zapatrzeni w te groźne niebezpieczeństwa „odgórne" stosunkowo mało przywiązujemy wagi, do słów gen. Małyszki, iż te oto najnowsze mordercze wynalazki wymagają silnej, energicznej wytrwałej ręki człowieka kierowanej żelazną wolą...

Więc ciało człowieka gra tu potężną rolę, ciało podległe dzielnemu umysłowi. Od tego już krok tylko do k u l t u c i a ł a.

Ludy sąsiednie lub europejskie już dosyć dawno zabrały się do p o p r a w y r a s y i podniesienia wartości i roli c i a ł a w życiu i rozwoju narodu.

Ludy klasyczne Grecji, Rzymianie kult ciała mieli niejako złączony z religją i wierzeniami... Nawała barbarzyńców na moment złamała te dążenia, mrok średniowiecza ciało jako przywilej, pozostawił kaście panów i rycerzy, ale umartwienie i zanik ciała poczytał za cnotę i świętość.

Dopiero Odrodzenie zrzuca te ponure całuny z ciała ludów i poczyna lubować się w nagości, w pięknie grających muskułów, w sprawności mięśni...

Anglja, ten kraj, który długie wieki wyprzedza inne ludy na polu tego co ludzkie — kult ciała najdawniej rozwija u siebie. Jej młodzież w sprawności muskułów czerpie moc do upartej walki o byt, do borykania się z siłami natury, do poskramiania oceanów!...

Francja po 1871 r. przerażona przewagą fizyczną rasy germańskiej krząta się około poprawy rasy i kultu ciała i wydaje pokolenia, które 1914 — 18 wytrwać potrafiły w okopach, przenieść klęski i doprowadzić do ofenzywy 1918 r. Słaby pozornie francuz przeniósł siłą olbrzyma rosyjskiego, toczonego przez syfilis i wódkę.

Niemcy już dawno, bo przed 1813, myśleli o kulcie ciała; przed wojną 1914 mieli już silnie rozwinięte dążenia do podtrzymania i uszlachetnienia rasy germańskiej (nasze niewinne pisma natrząsały się wtedy z bezwstydu niemieckiego). Ci najbliżsi nam sąsiedzi mogą nam być przykładem, jak obalić średniowieczną zaporę i podnieść a uszlachetnić to, co stanowi niezbędną podstawę i rusztowanie dla zdrowego narodu. Niemcy uczynili w tym kierunku nieprawdopodobne postępy. Obie płcie rozumnie wyparły się przesądów, rzuciły drobiazgową pruderję, a wytężyły uwagę w kierunku poprawienia rasy i przystosowania jej do tego, co tu, na ziemi, jest ludzkie t. j. do walki o byt!

Gdy my tu, w zapleśniałej zaściankowej Warszawie, przyglądaliśmy się pląsom „bosonogiej“ Izadory Duncan, a poprawdzie nie wiedzieliśmy, czy to cynizm czy bezwstyd, czy kokieterja daleko posunięta — w Niemczech zrozumiano odrazu, że „taniec rytmiczny“, to wciągnięcie kobiety w sferę rozwoju i doskonalenia ciała. A nie zapominajmy, że kobieta, to matka pokoleń!

Obecnie z podziwem w pismach i książkach specjalnych, poświęconych Kultowi Ciała, widzieć można te ruchy, skoki i zwroty, wykonywane nie przez pojedyńcze kobiety, ale przez całe zastępy kobiet i to pod gołem niebem w promieniach słońca z trawnikiem pod obnażonemi stopami.

A wszystkiemu temu przyświeca gwiazda przewodnia udoskonalenia i przewagi rasy germańskiej.

Niemcy całe pokryte są siecią szkół, specjalnie kult ciała mających na celu. Setki książek pisanych umiejętnie przez przyrodników — lekarzy płci obojej, poucza pokolenia niemców o pierwszorzędnej doniosłości i wartości ciała. Niemcy nie liczą się z cudami: oni wierzą tylko w siebie, w moc narodu i przewagę rasy.

Ciało wraca do praw, dawno mu należnych. Fałszywe wstydy upadają. Ludy już zrozumiały, że epoka ascetyzmu i umartwień tego nieocenionego skarbu, jakim jest moc i zdrowie ciała, dawno już pogrzebana.

Kwestja rozwoju i podtrzymania gatunku „Człowiek“, jest tak ściśle z pielęgnowaniem i rozwojem strony fizycznej człowieka zespolona, iż wszelkie przesądy, średniowieczne naleciałości i zaśniedziałe doktryny, muszą tu ustąpić. Czyż może, czyż powinno być inaczej?

Katechizm w ślad biblji poucza, iż bóg utworzył ciało człowieka z mułu ziemi na obraz i podobieństwo swoje. Bóg, doskonałość najwyższa, mógłże uczynić coś takiego, co jest obrazem boga, a czego człowiek miałby się zapierać i wstydzić? Wstydzić się ciała własnego, krytykować i zarzuty czynić Najwyższej Doskonałości, wytykać bogu jego usterki i błędy!

Albo, albo! Innej tedy drogi niema, jak uchylić czoła przed doskonałością stwórcy, uznać jego autorytet i wielbiąc go, doskonalić, pielęgnować, ochraniać to, co nam ze swojego obrazu łaskawie użyczył.

A ileż piękna wlał ów domniemany bóg, w ten twór rzeźbiarski rąk swoich (wg. biblji)!

Pewien „cynik“, wysłuchawszy długich wywodów duchownego, pouczającego młodzież malarską o wielkości i mądrości boga, odzwierciadlonej w Naturze — zauważył: „Gadanie! Dość było powiedzieć, wyjął krzywe żebro z boku Adama i utworzył z niego ten cud piękna, jakim jest ciało kobiety“.

Więc tego cudu nie zatracajmy, owszem przez ćwiczenia niech się rozwija, niech żyje, a odrzuciwszy śmiało mroki średniowiecza, niech nam pomaga udoskonalić i poprawić rasę narodu.

Potrzeba nam ludzi mocnych, ale harmonijnie mocnych. ciało i duch, duch i ciało! Oto hasło zmartwychwstałego narodu!

Ileż lat Moskal idący na smyczy niemieckiej, hamował u nas rozwój fizyczny.

Polska w wykazach poborowych dawać miała najmarniejszego rekruta. Ta Polska fizycznie słaba, złamała najazd bolszewicki 1920 r.

Wystawmy sobie lat kilka pracy nad fizycznem odrodzeniem narodu — jakiż może być rezultat. Rasa „ułańska“, jak ją niemcy zwali, mnożna jak „króliki“, jak mawiał kanclerz niemiecki, stanie się w środkowej Europie potęgą granitową. Rozbije się o nią atak ze wschodu i z zachodu. A kto jest silny, z tym się poważnie liczą sąsiedzi.

Pamiętajcie o tem i wbrew puszczykom a nietoperzom przykładajcie się do poprawy rasy, stajcie się wyznawcami Kultu Ciała!

Marjan Wawrzeniecki

Kronika

Zgon Augusta Forela

W dniu 28 lipca r. b. zmarł znany przyrodnik i psychjatra szwajcarski, prof. August Forel, przeżywszy lat 83. Z licznych jego prac mamy przetłumaczone na język polski: „Zagadnienia seksualne“ (kilka wydań), „Mózg i dusza“, „Maltuzjanizm czyli eugenika“ i rzecz o hypnotyzmie. Nie mamy natomiast przyswojonej językowi polskiemu głośnej jego pracy o mrówkach,

Prof. Forel był wolnomyślicielem. Zwłoki jego spalono w krematorjum w Lozannie (30. VII) bez udziału kościelnych obrzędów, a w obecności władz federacyjnych i kantonalnych oraz licznie zgromadzonych przedstawicieli świata nauki Szwajcarji, Francji, Anglji, Niemiec, Holandji i Belgji. Po wygłoszeniu szeregu mów, a przed opuszczeniem trumny do komory spopielania, syn zmarłego, wypełniając wolę ojca, odczytał pochwałę nauki XIX wieku, napisaną przez zmarłego dla wygłoszenia jego na własnym pogrzebie, zamiast odśpiewywania psalmów pokutnych lub katolickiego „Salve Regina“.

W „testamencie“ tym prof. Forel oddaje hołd nauce jako takiej i wszystkim wielkim uczonym swego czasu, a zwłaszcza Darwinowi, którego teorja rozwoju stworzyła nową metodę badania zjawisk organicznych i nadała ton stuleciu oraz jako genjuszowi nauki, który dla biologji stał się tem, czem Kopernik dla astronomji.

W ten sposób wielki uczony żegnał się ze światem żyjących.

Już i władze polskie zaczynają się orjentować czem jest kler katolicki w stosunku do państwa

Pisaliśmy niedawno (W.P. Nr. 15) o stanowisku, jakie zajął dyrektor gimnazjum państwowego w Białymstoku wobec zamiarów katechety stworzenia na terenie szkoły jaczejki akcji katolickiej w postaci sodalicji marjańskiej. Dyrektor ów nie zgodził się na werbowanie młodzieży szkolnej do szeregów akcji katolickiej, uważając słusznie jej działalność „za sprzeczną z kierunkiem wychowania państwowego“. Było to stanowisko kubek w kubek takie samo, jakie zajął Mussolini, w stosunku do Azione cattolica we Włoszech.

Obecnie mamy do zanotowania przemówienie wojewody pomorskiego p. Lamota, wygłoszone w dniu 4 lipca w Toruniu na zjeździe legjonistów. W przemówieniu tem—obok takiej heretyckiej, bo wolnomyślnej napoły deklaracji: „choć jestem dobrym katolikiem, mało mam nabożeństwa do świętych pańskich“ (z czego wynika, że p. wojewoda jest dobrym katolikiem z zastrzeżeniami, a katolicyzm, zwłaszcza „dobry“, tego rodzaju restrykcji nie znosi) — znalazł się i taki znamienny ustęp:

Okres wyborczy obfitował w taką ilość nieprzystojnych wybryków ze strony duchownych, że stosunek rządu do owych jednostek nadużywających sukni duchownej musi być poddany rewizji i ku ich największej szkodzie będzie zmieniony. Ponad głowami panów uprzedzam i ostrzegam!

Ludność, która już nie w jednym wypadku modli się za swych ojców duchownych, którzy błądzą, by im Bóg przywrócił rozsądek, wreszcie przejdzie ponad głowami swych księży! Z tego miejsca rzucam to ostrzeżenie.

„Gazeta Warsz." (z 10.VII) robi z tego powodu uwagę, że „takim językiem nie przemawiał dotychczas (do kleru rzymskiego), żaden wojewoda nietylko na Pomorzu, lecz wogóle w całej Polsce.

Mamy wrażenie, że teraz zaczną coraz częściej tak przemawiać, jeżeli ludność Polski ma istotnie „przejść ponad głowami swych księży", jak przeszły inne cywilizowane narody świata, niechcące być po wieczne czasy „narodami „zawsze wiernych" idjotów". Jako ostatni przykład: Meksyk i Hiszpanja.

Myli się tylko p. wojewoda, twierdząc, że zapowiedziana przezeń zmiana stosunku rządu do kleru ma dotyczyć tylko pewnych „jednostek". Mówiąc tak, albo się łudzi, albo dyplomatyzuje, albo poprostu nie zna organizacji kleru watykańskiego, choć się uważa za „dobrego katolika". W hierarchji rzymskiej nie podobna jest wyłączyć jednostek z całości, która decyduje o wszystkiem. To też jeżeli ma być wogóle mowa o poddaniu rewizji dotychczasowego stosunku rządu polskiego do kleru — rewizji tej musi być poddany przedewszystkiem stosunek rządu do całej hierarchji rzymskiej, która jako nienależąca do „tego świata", czyli do Polski, a tylko do „tamtego", czyli do Watykanu, wcale nie została tak znów w stu procentach kupiona za miskę soczewicy w postaci ks. Żongołłowicza. Ks. Żongołłowicz też przecież podlega jakiemuś biskupowi, odbierającemu tajne instrukcje i dyrektywy z Rzymu i musi postępować tak, jak mu jego władza duchowna, której przysiągł posłuszeństwo, rozkaże,

Rząd, jeśli chce naprawdę zrewidować swój stosunek do kleru, musi przedewszystkiem poddać rewizji postanowienia art. 114 Konstytucji i pozbyć się jaknajprędzej konkordatu. To jedno tylko może być skuteczne. Wszystko inne — to półśrodki, które do niczego nie doprowadzą. Ale to już od p. woj. Lamoty nie zależy, choć tylko dzięki takim, jak on, może Polska zawdzięczać swoją najbliższą przyszłość, „uzgodnioną z duchem czasu".[1])

[1]) Taktyka opozycyjna niewątpliwie sprawiła, że Stronnictwa ludowe, jak „Wyzwolenie" i „Str. chłopskie", które odczuły nieraz na swojej skórze wrogi do siebie stosunek kleru, wzięły ten kler w obronę przed „groźbami" p. Lamota, „krzywdzącemi w wysokim stopniu nasze patrjotyczne i duchem państwowym owiane duchowieństwo.(Zob. w Gaz. Warsz. z 17. VII sprawozdanie z Trzeciego zjazdu wojewódzkiego Stron-

I w Meksyku płoną kościoły

W obronie zredukowanego do mniej, niż pół procent, kleru katolickiego w stanie Vera Cruz w Meksyku, wystąpił pewien zwolennik zaświatowości i strzelił znienacka do gubernatora stanu, mszcząc się za wykonanie uchwały redukcyjnej. Strzał chybił. W odpowiedzi na to napadnięty, sięgnął po rewolwer, ukrył się za kolumną i jął się odstrzeliwać „karzącej ręce kościoła". Wymiana strzałów trwała około 15 minut, wreszcie napastnik padł raniony śmiertelnie. Miało to miejsce 27.VII.

Na wieść o tym napadzie zebrał się na ulicach Vera Cruz wielki tłum, który rzucił się na księży, pobił i poturbował wielu z nich oraz podpalił 4 kościoły, z których jeden spłonął doszczętnie, a trzy są nie do użycia. Jednocześnie kilku mężczyzn wpadło do jednego z kościołów w czasie nabożeństwa, zastrzelili księdza przy ołtarzu, który padł na miejscu, a drugiego ranili. Na widok tego kościelny, służący do mszy, chwycił za rewolwer i zaczął się odstrzeliwać. W trakcie tej strzelaniny kilka osób z pośród obecnych w kościele odniosło rany. Aby położyć kres zaburzeniom, gubernator ogłosił w mieście stan wojenny.

Ruch antyzaświatowy przeniósł się jednak do sąsiedniego stanu Guerrero, gdzie spalono kościół i klasztor, a w Puebli. w stanie Mexico, ciężko pobito kilkunastu księży, którzy urządzili zebranie protestacyjne z powodu wypadków w Vera Cruz.

Z tytułu tych pogromów zaświatowości Katolicka aj. pras. wydała komunikat 28.VII, w którym nazwała sytuację kościoła katolickiego w Meksyku „trudną" (Gaz. Warsz. 30.VII). Jest to niewątpliwie hasło, że trzeba się b. intensywnie modlić „za pognębienie wrogów" i „odwrócenie nieszczęścia", czyli zbliżającego się szybko końca klerykalizmu na całym świecie.

Watykan i faszyzm

W przededniu ostatecznej rozgrywki: zerwania stosunków dyplomatycznych i konkordatu

nictwa Ludowego, który się odbył w dniu 12 lipca w Grudziądzu). Najwidoczniej „Wyzwolenie" i „Stronnictwo chłopskie", kilkakrotnie okładane klątwami z ambon i potępiane w listach pasterskich uznały w rezultacie, że klątwy te były to posunięcia wielce „patrjotyczne i owiane duchem państwowym". Jeżeli tak, to wszystko w porządku. Co do nas uważamy, że plwocina, jest zawsze plwociną i żaden szanujący swą godność ludzką „dżentelmen" nie obetrze jej spokojnie chusteczką z twarzy i nie schowa milcząco do kieszeni. Albo — albo.

Jak widzimy, napięta struna zatargu watykańsko-faszystowskiego, ciągnącego się 3-ci miesiąc, pęknie lada chwila. Stosunki dyplomatyczne pomiędzy paktantami laterańskimi nie dadzą się już dłużej utrzymać; konkordat pójdzie do lamusa, aby prosto stamtąd przejść do historji: „monarcha“ watykański, jeśli nie zostanie z Włoch wyeksmitowany, będzie znowu ze swej strony udawał „więźnia“ w jedenastu tysiącach pokojów. Papieski „Saison — Staat“ skończy się, jak się zaczął.

Prasa faszystowska nie szczędzi również mocnych słów pod adresem autora encykliki z 29 czerwca i pomawia go wyraźnie o kumanie się i nawiązywanie stosunków z wrogami Włoch, a nawet... z masonerją. Najsilniej jednak zamanifestował swą antywatykańskość dziennik kalabryjski „La Gazette“ z dnia 12 lipca, który wręcz oświadczył, że „jeżeli Duce (Mussolini) każe wystrzelać wszystkich biskupów, uczynimy to bez jednej chwili wahania“. (por. Il. K. C. z d. 21.VII).

Jednocześnie rząd i prasa pracują w tym kierunku, aby rozsadzić kler włoski od środka. Administratorowie prowincyj żądają od biskupów, aby opowiedzieli się przeciwko encyklice. Jak dotąd — biskupi milczą, ale pisma faszystowskie drukują masami telegramy i listy zbiorowe różnych księży, wyrażających uznanie dla Mussoliniego, a potępiających tem samem samą encyklikę. Całkiem więc źle idzie bussines watykański; szeregowcy dezertują, bez których jeneralicja niewiele co zdziała. Nic tedy dziwnego, że niefortunny encyklikarz zaczyna już myśleć — nietyle narazie o Krakowie—co o „Pradze Husa“, bo w „Rzymie piotrowym“ ziemia mu się pali pod nogami (zob. depesze ze streszczeniem przemówienia Piusa XI do wycieczki czeskosłowackiej).

Na dowód, że rozwój wypadków antyzaświatowych zaczyna we Włoszech przybierać charakter „hiszpański“, świadczy depesza z dnia 16 lipca, donosząca o znalezieniu w jednym z konfesjonałów bazyliki Piotra piekielnej maszyny, która w porę zauważona i wyniesiona do ogrodów watykań-

skich przez straż papieską, gdzie miała być następnie zbadana przez rzeczoznawców, wybuchła w nocy z nadzwyczajną mocą. Bomba była umieszczona w lewym skrzydle bazyliki, przylegającym do pałaców papieskich.

Gdy ostateczna rozgrywka zaświatowości ze światowością zmierza sobie marszowym krokiem do przewidywanego końca, kler katolicki w Polsce zarządził ostre pogotowie modlitewne po kościołach „dla odwrócenia nieszczęścia". Ta krucjata modlitw obejmuje aktualnie nietylko skutki encykliki papieskiej we Włoszech i przesądzone już dalsze losy akcji katolickiej w tym kraju, ale i 200 spalonych objektów kościelnych w Hiszpanji. A więc i nieszczęście, które się już stało. A polskie przysłowie powiada, że co się stało — to się nie odstanie. Ale polscy dewoci i dewotki o tem nie myślą, no, bo nie myślą.

A tymczasem rozgrywają się w naszych oczach wypadki epokowej miary i pierwszorzędnego dla „ludzkiego niemowlęcia" znaczenia[2]). Comte'owski okres teologiczny przechodzi do przeszłości, metafizyczny już właściwie minął — a nadchodzi całkowity tryumf okresu pozytywistycznego[3]).

Mała kronika

Zaludnienie ziemi. Wg. rocznika statystycznego Ligi Narodów zaludnienia całego globu ziemskiego wynosiło na 1.I.30 r. 1.992.500.000 osób. Jakżeż pojemne musi być piekło katolickie, skoro od dwudziestu blisko wieków stale 5/6 ogółu zaludnienia ziemi idzie do piekła na wieczne potępienie z tej racji, że nie uznaje papieża i nie należy do kościoła katolickiego. A ponoć on tylko jeden może zbawić. Firmy kupieckie ogłaszają: „U nas najtaniej". Papież zaś powiada: „U mnie najpewniej". Mimo to interes się nie rozwija. Przeciwnie, konjunktura miejscami jest nawet — b. „trudna".

Zgon ministra Czerwińskiego. W dn. 4 b. m. zmarł w Warszawie minister w. r. i o. p. dr. Sławomir Czerwiński[4]). Posłowie katoliccy w sejmie i matki — polki na Pomorzu występowały w swoim czasie przeciwko zmarłemu, jako przeciwko kalwiniście. Nie naszą jest rzeczą zaglądanie obywatelom do metryk. Nie wiemy też, czy zmarły był wyznania ewangelicko-reformowanego od urodzenia, czy też przyjął je

---

[2]) Zob. w Nr. 13 W. P. z 1930 r. artykuł p. t. „Co słychać we wszechświecie".

[3]) August Comte — filozof francuski (1798 – 1857) głosił za swym mistrzem, również filozofem francuskim Saint-Simonem, że każda nauka — tak jak i każda myśl ludzka, przechodzi 3 okresy: teologiczny, metafizyczny i pozytywistyczny. W okresie I-ym człowiek stawia istoty do siebie podobne poza zjawiskami, wymagającemi wyjaśnienia (antropomorfizm, bóstwa, demony); w okresie II-im miejsce tych istot zajmują własności oderwane i pojęcia (siły przyrody, zdolności ukryte i t. p.); w okresie III-im — wyrzekamy się poznania istoty zjawisk, a poprzestajemy na zbadaniu praw, które niemi rządzą.

[4]) w N-rze 18 naszego pisma na str. 454 podano mylnie jego imię Ludomir, co niniejszem prostujemy.

później. Raczej to ostatnie, bo w Gaz. Warsz. z 5.8. znajdujemy taką wiadomość:

Ś. p. dr. Czerwiński na łożu boleści, czując zbliżającą się śmierć, poprosił o spowiednika, księdza katolickiego, wyspowiadał się i ucałował krucyfiks,[2]) uczyniwszy przed kapłanem akt skruchy.

Formalnego aktu skruchy zmarły nie zdołał już podpisać. Sporządzono tylko krótki protokół, podpisany przez świadków. W sprawie tej głos należy jeszcze do rodziny.

Minister Czerwiński został pochowany na cmentarzu powązkowskim.

Siła moralna Watykanu. Wg. ostatniego rocznika papieskiego „Annuario Pontificio“ armja papieska składa się z 4-ch korpusów: 1) z gwardji papieskiej, 2) z gwardji szwajcarskiej, 3) z gwardji palatyńskiej i 4) z żandarmerji.

Watykan ma następnie do rozdawania, a raczej do sprzedawania szereg odznaczeń i tytułów. W tem 5 orderów: 1) order Chrystusa (niewiadomo czy „króla“ czy „robotnika“?), 2) Złotej Ostrogi, 3) Piusa IX, 4) Grzegorza Wielkiego, 5) św. Sylwestra, nieoficjalnego patrona pijatyk przednoworocznych.

Biały monarcha watykański, czyli Chrystus, jak powiada ks. Choromański, ma do dyspozycji rząd, składający się z 12-u „świętych“ ministerstw, czyli kongregacyj, z których naczelne miejsce zajmuje ministerjum „świętej“ inkwizycji. O korpusie dyplomatycznym Watykanu pisaliśmy w Nr. 17.

To wszystko razem ma się składać, jak piszą pewne pisma, na „siłę moralną Watykanu“. Naszem zdaniem jest trochę inaczej. Zarówno siłę moralną, jak i siłę polityczną Watykanu tworzy nie Citta del Vaticano, nie te operetkowe cztery korpusy i nawet nie te sprzedawane za drogie pieniądze tytuły i ordery, lecz wielka ciemnota mas i rządów, o umysłowości, niewychodzącej poza magję i katechizm. Ciemnota — wg. nas — nie może być nigdy siłą moralną, choć w okresie przejściowym od ciemnoty do światła stanowić ona może wielką siłę polityczną. To też kler, wiedząc o tem, robi wszystko, aby ten okres przejściowy nigdy nie przeszedł.

Awantura o rzeźbę na cmentarzu żydowskim w Warszawie. P. Kirszrotowa, wdowa po radnym miejskim, zamówiła u rzeźbiarza Henryka Kuny pomnik na grób swego męża. Pomnik ten przedstawiający zawoalowaną postać kobiecą, ustawiono niedawno na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej. Zanim jednak ukończono montowanie pomnika posypały się protesty ze strony ortodoksyjnych współwyznawców nieboszczyka, twierdzących, że figura obraża ich uczucia religijne(?!). Krytycy dzieła p. Kuny zaalarmowali rabinat warszawski, który w tych dniach wysłał na cmentarz komisję. Komisja podzieliła się jednak na dwa obozy, wobec czego postanowiono wysłać tam jeszcze specjalnych „ekspertów przyzwoitości“. Zanim oni wypowiedzą swą decyzję, zarząd cmentarza zasłonił rzeźbę papierem, tak że obecnie stoi ona w ukryciu, a między kompetentnymi znawcami toczy się dalej spór, czy może pozostać w obecnej postaci na cmentarzu. (I.K.C.).

Wyrywanie klijentów jak za Żelazną Bramą. Gazety wileńskie podawały niedawno fakt wyrywania sobie niejakiej Marji Leszkiewiczówny, prawosławnej, przez popa z Zaborza i dziekana z Głębokiego (pisaliśmy w r. 1929 Nr. 14 o jego „krucjacie“ na cerkiew prawosławną). Leszkiewiczówna miała narzeczonego katolika. Dziekan z Głębokiego nalegał na tego ostatniego, aby z narzeczonej zrobił katoliczkę i wziął ślub w kościele, bo inaczej przez mieszane małżeństwo może ucierpieć jego zbawienie (domaganie się zresztą zupełnie zgodne z encykliką o małżeństwie). Narzeczony sprowadził tedy Leszkiewiczównę do dziekana, który

---

[2]) Ucałować krzyż mógł również jako ewangielik.

miał ją skatoliczyć. Gdy się o tem dowiedział wuj narzeczonej, również prawosławny, porozumiał się z popem i kilku jeszcze współwyznawcami i przy ich pomocy zaprowadził dziewczynę gwałtem do cerkwi o godz. 2 w nocy i kazał jej wziąć ślub z innym konkurentem, prawosławnym. Dopełniwszy ślubnego obrzędu, pop zawiadomił dziekana, ażeby się nie ważył dawać ślubu Leszkiewiczównie, ponieważ wyszła ona za kogo innego.

Nowy obrządek w Polsce. W woj. nowogródzkiem powstał nowy obrządek, nazwany „wschodnim". Liturgja i sprzęty liturgiczne ma wzorowane na liturgji prawosławnej — z wyjątkiem języka, którym jest język polski zamiast starocerkiewnego. Jest to coś w rodzaju kościoła narodowego dla prawosławnych, założonego niewątpliwie w tym celu, aby spolszczyć tych ostatnich. Ten „polski narodowy kościół prawosławny" ma już swego biskupa, Mikołaja Czarneckiego, b. ks. katolickiego, 60 alumnów i własny organ: „Życie nowogródzkie". Na ten nowy obrządek, jako konkurencyjny, patrzą narazie koso zarówno popi prawosławni, jak i księża watykańscy, stale zerkający łakomie w stronę naszych kresów wschodnich, no i trochę jeszcze dalej na wschód: do Rosji. Ach! dlaczego ta krucjata modlitw zawiodła!

Posągi uczonych w Kościele. Oczywiście w Ameryce. W nowym kościele protestanckim, wzniesionym w roku zeszłym w New Yorku przy ul. New Riverside Drive, kosztem czterech miljonów dolarów, i nazwanym stąd „kościołem miljonerów" — ustawiono w jednym rzędzie z posągami apostołów, ojców kościoła i wybitniejszych reformatorów, 40 posągów najznakomitszych uczonych, jako dobroczyńców ludzkości. Między innemi znalazła się tam również i podobizna żyjącego dotąd prof. Einsteina z Zurychu, twórcy teorji względności.

Na tę „herezję" oburza się przedewszystkiem prasa i „opinja" katolicka, którejby przez gardło nie przeszło nazwanie np. Darwina „dobroczyńcą ludzkości", a cóż dopiero ustawić jego posąg w kościele!

Może który z naszych czytelników z New Yorku zechce przysłać nam nazwiska owych pozostałych 39 uczonych, figurujących w „kościele miljonerów".

Jedną z wielu, choć nie ostatnią ofiarą ciemnoty naszego wielce religijnego ludu stała się niejaka Józwiakowa, żona gospodarza we wsi Węgłowice pow. wieluńskiego, która po stracie dziecka, uduszonego przy porodzie dostała melancholji. Ponieważ wybitny miejscowy psychjatra, zwany znachorem, orzekł, że jest ona opętana przez djabła, o którym tyle się słyszy w każdym katolickim kościele — mąż „opętanej" okadził najpierw chorą żonę zielem poświęcanem, a następnie przystąpił do wypędzania z niej djabła kijem, umaczanym w wodzie święconej. Pomimo tego nadmiaru katolickich świętości — djabeł ani się ruszył. Wobec tego zbitą i poranioną kobietę niefortunny egzorcysta wrzucił do chlewa, w którym ją zamknął i głodził przez parę dni[1]). Gdy się o tym wypadku dowiedziała policja, zabrała nieszczęśliwą „opętaną" do szpitala, lecz ta z powodu pobicia i wyczerpania zmarła jej w drodze. Męża i znachora aresztowano i sąd ich niewątpliwie skarze. Ale czy to co pomoże? Djabeł jest przecież „ministrem skarbu" kościoła i choćby dlatego kościół nie przestanie o nim dalej „nauczać", a tych, którzyby nie chcieli wierzyć w djabła będzie oskarżał i wsadzał do więzienia. Tak było przecież parę lat temu w Grudziądzu.

---

[1]) Jak widzimy, te dwa środki zapobiegawcze: chlew i kij — stale się powtarzają w egzorcystyce naszego „zawsze wiernego" ludu. Zob. W. P. N. 17 str. 437 i N. 18, str. 474. Chlew niewątpliwie dlatego, aby djabeł sam się wyniósł z tak paskudnego miejsca, a kij — poprostu dlatego, aby mu się dobrać do skóry, której podobno niema. Bo — myśli sobie taki wierzący poczciwiec — skoro ogień w piekle ma być fizyczny (podobny do ognia pod blachą) — dlaczego i djabeł nie miałby być podobny fizycznie do człowieka?

Zamiast sądzić i karać „ślepy miecz“, należy poprostu uciąć „rękę“, czyli przepędzić kler, a takich egzorcystów, jak Jóżwiak i takich „psychjatrów“, jak znachor posłać do świeckiej szkoły na naukę.

Przedmioty kultu na licytacji. Z powodu sprzedania przez komornika w Toruniu z publicznej licytacji paru t. zw. świętych obrazów wraz z innemi ruchomościami pewnego dłużnika, prasa pomorska podniosła krzyk, że jest to obraza uczuć religijnych, profanacja rzeczy poświęcanych i t. p. i domaga się zmiany ustawy o postępowaniu cywilnem w tym kierunku, aby przedmioty kultu były wyłączone z pośród rzeczy ulegających zajęciu sądowemu.

Ponieważ artykuły te są inspirowane a niekiedy i pisane przez księży poświęcających wszystko, co się tylko da poświęcić, cała akcja ma na celu uczynienie nietykalnemi narówni z każdym księdzem i biskupem każdego przedmiotu, poświęconego katolickim kropidłem.

No, i jeszcze jedno. Chłop i robotnik polski może nie mieć gdzie mieszkać, co jeść i być pozbawiony najniezbędniejszych sprzętów domowych, ale powinien mieć do czego się modlić, bo modlitwa wszak nietyle wiąże go z bogiem, co z kiędzem i kościołem. A oto właśnie głównie chodzi.

Odpowiedzi Redakcji

O celu istnienia świata i człowieka
punkt widzenia naukowy i teologiczny

Jako cząsteczka wszechświata myśląca,
Szukam w nim celu i o celu myślę,
Bo ten się wiąże z mem pojęciem ściśle,
Tak jak odczucie ciepła lub gorąca.

Znam tylko bowiem jedną z form tysiąca
Natury w moim odbitej umyśle,
Sądzę ją z tego, co mi sama przyśle
I czem o władze mi dane potrąca.

Natura twórcza, wieczna, bezcelowa
Nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie
Więc wiecznym prawom, co w swem łonie chowa.

I konieczności co nas wszystkich łamie,
Ludzkiej dążności narzucamy znamię,
Na ludzki język tłumacząc jej słowa.

Adam Asnyk, „Nad głębiami“, sonet XXV.

Ob D. P. z Villerupt. Ten głęboki i przepiękny sonet wielkiego poety i myśliciela, łącznie z zamieszczonym w dzisiejszym Nr. naszego pisma urywkiem z pism Goethego o „Naturze“ — mógłby służyć właściwie za całą odpowiedź na postawione nam pytanie. Pytacie bowiem:

— Jaki jest cel istnienia świata, a w szczególności człowieka na nim?

Niestety, nie wiemy, jaki jest cel istnienia, świata ani też jaki jest cel istnienia człowieka, bo natura nie objawia“ nikomu swych zamiarów (o ile je ma), a nauka nie odkryła dotąd żadnego celu w naturze. Człowieka zaś niepodobna oddzielić od natury. Stanowimy bowiem z nią jedną całość. O ile więc odkrylibyśmy cel istnienia

świata — moglibyśmy wówczas odkryć niewątpliwie i cel istnienia człowieka. Narazie rzecz jest w zawieszeniu. Sprawa jest jednak na tyle ważna, że warto jej poświęcić nieco więcej uwagi.

Człowiek (a mamy tu na myśli jedynie umiejących się zastanawiać nad podobnemi zagadnieniami, tak jak Wy) jest — o ile wiemy — ostatnim ogniwem w łańcuchu ożywionej natury.

Nauka wykazała, że zanim zjawiło się życie na Ziemi (bo o życiu na innych planetach nic nie wiemy), upłynęły miljony miljonów lat, a od pierwotniaka do człowieka z jego mózgiem — tym najwyższym i najcudowniejszym z wytworów natury (obok instynktu życiowego roślin, owadów i zwierząt) — upłynęły nowe miljony lat. Któż tedy z żyjących mógłby odpowiedzieć na pytanie, postawione przez Was? Zwłaszcza, że świat nie za nas się zaczął i nie za nas się skończy.

Nic nie wiemy o celu świata, jak nic nie wiemy — i może nigdy nie będziemy wiedzieli — jaka jest przyczyna jego powstania i pochodzenie składającej się na wszechświat materji gwiezdnej, Mówimy: „może“, gdyż „niemowlę ludzkie“ — że użyjemy tu określenia J. H. Jeansa (czytaj: Dżinsa) z jego książki p. t. „Eos“ (Zob. W. P. Nr. 13 z r. 1930) ma przed sobą jeszcze wiele miljonów lat życia (rozwoju), zanim dojrzeje i pozna „wszystko“.

Wg. dzisiejszego stanu wiedzy — świat istniał zawsze, tak jak istnieje wszędzie. W każdym razie nie mógł być „stworzony“ — i to stworzony z „niczego“ (jeden z największych nonsensów religijnych!), gdyż nie może być obrócony w nicość. Materja jest niezniszalna!, Ale to stwierdzenie, że świat istniał zawsze i wszędzie — nie zaspokaja bynajmniej ciekawości człowieka, który, jako istota krótkotrwała i ograniczona przestrzenią ma bardzo mgliste wyobrażenie o tem, co to jest zawsze (czas) i co to jest wszędzie (przestrzeń). Ciekawość ta idzie jeszcze dalej i pyta z uporem, godnym takiej sprawy: skąd? jak? dlaczego? poco? choć wie, że nie na wszystkie pytania tego rodzaju człowiek dzisiejszy może odpowiedzieć (Zob. R. Plöhna „Katechizm wolnomyślicielski“).

Ale to nic: niech pyta, bo gdy tak stale pytał będzie, może w końcu znajdzie upragnioną odpowiedź lub ewent. upewni się, że dzisiejsza wiedza o świecie była słuszna. W instynkcie bowiem badawczym człowieka, leży głębokie przeświadczenie, że nieznane musi w końcu stać się znanem. Inaczej nauka i wiedza ludzka nie byłaby się posunęła nawet na krok od wiedzy buszmena lub botokuda.

To tylko teolog jest innego zdania. To tylko religja, którą w danym wypadku utożsamiamy z nauką kościelną, nie zna pytań na które nie byłoby odpowiedzi. Tą odpowiedzią uniwersalną teologji i religji jest „bóg“, pojęcie,

które niczego naukowo nie wyjaśnia, a stwarza tylko b. szkodliwy dla rozwoju umysłowego człowieka pozór prawdy, połączony z bardzo naiwną pewnością siebie. O ogłupiającym do reszty masy wierzące kulcie pierwotnym tego pojęcia w tej chwili nie wspominamy.

To też gdybyście powyższe pytanie postawili teologowi, odpowiedziałby Wam bez zająknienia, że celem istnienia świata jest wyrażenie wszechmocy żydowsko-chrześcijańskiego „boga“, lub jeśli kto woli: siły jego kaprysu (wolnej woli), a celem człowieka — za życia: znanie, kochanie i chwalenie tegoż boga oraz wierne mu służenie przez wypełnianie przykazań kościelnych, a po śmierci: wieczne z nim królowanie (bo niebo ma podobno nadal ustrój monarchistyczny), czyli uczestniczenie w nieistniejącej władzy i w nieistniejącem miejscu.

Nauka nie wie, skąd się wziął świat. Stwierdziła tylko, że istnieje i zajęła się gorliwie badaniem warunków jego istnienia, t. j. tego, jak on istnieje.

Po co człowiek żyje na świecie? również nie wiemy, jak nie wiemy, poco istnieją bakterje i hipopotamy, stokrotki i baobaby, żmije i orły?.. Wiemy tylko, że istniejemy i wiemy, jak istniejemy. To tylko przykre, że mając pełną świadomość tego, jak istniejemy, nie żyjemy inaczej, niż żyjemy, lecz w swojej głupiej chciwości, bo chciwość ta jest zupełnie pozbawiona rozsądku i zastanowienia, zjadamy się, mordujemy, tępimy, krzywdzimy, wyzyskujemy, oszukujemy, robimy sobie na złość. . Tu właśnie należałoby się stale pytać: poco? w jakim celu? i co z tego wyniknie?... Istniemy zaś, bo poprostu musimy istnieć. To jest ta właśnie „konieczność, co nas wszystkich łamie“. Nakaz ten wyraża się w dwóch podstawowych instynktach życiowych: zachowania gatunku i zachowania rodzaju (zob. W. P. z 1930 N-ry 23 i n. artykuł o Zasadach katolickiej etyki i odpowiedź redakcji w Nr. 14 z r. b.). Jest to przedewszystkiem cel istnienia biologiczny, choć dla nas również niepojęty, jak samo istnienie.

Jeżeli zaś chodzi o cel istnienia społeczny, będący dalszym ciągiem poprzedniego, to życie nasze tylko taki będzie miało sens i cel, jaki my sami mu nadamy. To od nas zależy. Bo „natura—jak powiada poeta — jest „twórcza wieczna, bezcelowa“. A skoro natura nie ma celu, nia może go mieć również i jeden z przejawów tej natury: życie organiczne. A skoro go niema życie organiczne, trudno przypuścić, aby go miał człowiek i życie ludzkie.

Choć żyjący ma zasadniczo jeden cel: żyć i życie swoje przekazać innym, ale ten cel jest tylko celem przejściowym, celem gatunku — a nie celem ostatecznym, celem świata, choćby dlatego, że człowiek jest sam czemś znikomem i przemijającem. Podobny cel

również tylko przejściowy — ma i społeczeństwo, które nazywamy człowiekiem zbiorowym, lub gromadą ludzi żyjących w mniejszem lub większem skupieniu.

Nauka nie zna celu w naturze, choć o celowości w naturze bredzą dotąd wszyscy teologowie i różni teologizujący filozofowie, bo wydaje im się to potrzebne: teologom, aby wykazać, że bóg jest podobny do człowieka, który wszystko robi z obmyślonym planem i dla pewnego określonego celu, a filozofom dla zatkania pustych dziur w swoich systemach, które muszą być obowiązkowo „jednolite" i „pozbawione sprzeczności." A systemy filozoficzne, będące prywatnemi poglądami na świat poszczególnych myślicieli, to bynajmniej nie ścisła wiedza; to sztuka stosowana; to kompozycje, oparte na tych samych zasadach, co i kompozycje artystyczne — z tą tylko różnicą, że elementy (części składowe) kompozycji filozofów są czerpane głównie ze sfery pojęciowej, gdy elementy twórczości artystycznej są brane głównie ze sfery uczuciowej, wzgl. uczuciowo-moralnej.

A teraz jeszcze jedna kwestja: „Dlaczego człowiek — tak jak Wy — wogóle „pyta o cel" istnienia wszechświata i o tym celu „myśli?"

Asnyk daje nam na to pytanie odpowiedź zupełnie wyraźną.

„Jako cząsteczka wszechświata myśląca, szukamy celu i o celu myślimy." A myślimy o tym celu dlatego, że nasze myślenie zostało urobione przez naszą działalność i pozostaje całkowicie na usługach tejże działalności. Wszelka zaś działalność ludzka jest celowa. Jeśli bowiem coś czynimy, czynimy zawsze dla jakiegoś celu. Dlatego skłonni jesteśmy pytać o ten cel wszystkiego i wszystkich.

Tak jest w sferze świadomości ludzkiej. Ale czy tak jest w naturze?... Dlatego Goethe słusznie powiada, że „natura myśli, lecz myśli nie tak, jak człowiek, lecz jak natura."

Protagoras, filozof grecki, żyjący przed 25-ioma wiekami, zauważył, że „człowiek jest miarą „wszechrzeczy". To znaczy, że pomimo stwierdzenia przez Asnyka tej zasadniczej prawdy, że „natura twórcza, wieczna, bezcelowa nie da się zmieścić w naszych pojęć ramie", wtłaczamy ją dalej w te ramy, „narzucamy jej znamię ludzkiej dążności", i „tłumaczymy jej słowa na nasz ludzki język", choćby dlatego, że innego środka porozumiewawczego nie znamy i nie moglibyśmy się porozumieć z sobą innym, aniżeli ludzkim językiem. Tłumaczymy więc sobie naturę „po ludzku".

Tego rodzaju przypisywanie cech ludzkich wszystkiemu, a zwłaszcza naturze — nazywa się antropomorfizmem (ántropos — człowiek, morfè — kształt, postać). Antropomorfizm zaś jest zupełnie na miejscu, gdy chodzi o człowieka. W odniesieniu do świata, o którego świadomości i człeko-kształt-

ności nic nie wiemy, stanie się fałszywą przesłanką, prowadzącą do błędu, który właściwie zamyka nam drogę do poznania istoty świata, a choćby tylko do odkrycia naukowej prawdy. Ten antropomorfizm, połączony z jedną z zasadniczych form ludzkiego myślenia: z przyczynowością — dał pojęcie bóstwa czyli powiększonego—acz niewidzialnego lub widzialnego tylko w stanach halucynacji — człowieka, jako domniemanego stwórcy i sprawcy świata, co jest również błędem naukowym, choć stanowi jedną z kardynalnych prawd wiary religijnej.

Strzeżmy się tedy antrofomorfizmu i animizmu (uważanie rzeczy martwych lub pojęć oderwanych za istoty żywe i czujące), gdy zwracamy się do natury; nie narzucajmy jej naszych dążności i nie tłumaczmy jej słów na nasz ludzki język, bo możemy nie osiągnąć poznawczego celu.

hw.

Ob. J. Gr-owi w m. Dziękujemy za nadesłaną nam notatkę i za uznanie, iż w sprawie walki z obłudą wyznaniową mieszczaństwa żydowskiego postępujemy w sposób bezwzględny, a jednak z myślą wpływania na nowe pokolenie tego środowiska. Robimy tyle, ile w naszych warunkach możemy i ile w piśmie miejsca nam starczy. Prosimy o dalsze nadsyłanie wycinków gazet żydowskich, tembardziej, że nie otrzymujemy bezpośrednio tych pism. „Nasze Przeglądy" i „Nowe Słowa", będąc wyznania mojżeszowego, wyznają pozatem głęboką wiarę handlową, niedopuszczającą wysyłania nam egzemplarzy zamiennych, jako pieniężnie, wedle ich własnego obliczenia, od naszego „droższych". Kto na omamianiu swej klasy społecznej potrafi tak jak oni robić dobre interesy, ten nie może sobie pozwolić na przyjętą ogólnie przyzwoitość wzajemnej wymiany pism. Poto mieszczaństwo przez całe życie uczy się rachunków, porównań i ważenia, aby tę umiejętność należycie wykorzystać—i aby jednak w końcu „przekalkulować" wszelką opinję w oczach solidnych ludzi.

A może chcą oni, aby nie doszła oczu naszych treść ich pism?...

Z głosów czytelników

LUDNOŚĆ WŁOSKA PO STRONIE MUSSOLINIEGO

Włosi „na złość" papieżowi nie chcą się modlić

Dajemy poniższy charakterystyczny urywek z listu, otrzymanego z Włoch w pierszych dniach sierpnia. Redakcja

...A teraz co do zatargu Mussoliniego z papieżem. Rozmawiałem tutaj często w ostatnich czasach z różnymi ludźmi na ten temat. Zresztą trudno o tem nie mówić, bo jest to

teraz jedna z najbardziej aktualnych spraw we Włoszech. Otóż opinja włoska jest cała po stronie Mussoliniego, a przeciwko papieżowi. Oburzenie na papieża za jego krecią robotę i kopanie dołków pod faszyzmem jest ogólne. Akcja katolicka jest w najwyższym stopniu niepopularna. Młodzież cała jest po stronie rządu. Gdyby Mussolini chciał zerwać konkordat i uwięzić papieża, ludność przyklasnęłaby mu niewątpliwie. Nic tedy dziwnego, że papież zaczyna się źle czuć w Watykanie i dziś poprostu nie wie, jak wybrnąć z sytuacji. Pewnie, że z czasem stosunki jakoś się ułożą, ale dziś sytuacja jest dla sfer watykańskich b. niemiła, bo włosi są tak obecnie wściekli na papieża, że zbojkotowali tegoroczne uroczystości padewskie[1]), które co roku ściągały setki tysięcy osób i na złość papieżowi przestali się wogóle modlić.

Być może, że się to Panu wyda czemś nieprawdopodobnem, a jednak tak jest. Bo wogóle trzeba znać włochów, aby to zrozumieć.[2])

Religijność włochów jest bardzo powierzchowna. Naród ten, mając wrodzony zmysł artystyczny, kształcony stuleciami (jak Pan wie, nietylko kościoły i galerje włoskie są pełne arcydzieł pędzla i dłuta, ale nawet skromne wiejskie cmentarze, to prawdziwe wystawy rzeźb, które nasza Zachęta pokazywałaby za pieniądze), jest do katolicyzmu zupełnie szczerze przywiązany, lecz nie za jego mistykę, tylko za jego wystawne nabożeństwa, które tu we Włoszech robią wrażenie widowisk operowych, co włosi szalenie lubią.[3]) Trzeba np. widzieć włocha w niedzielę lub w święto, gdy się ubierze i włoży przed lustrem kapelusz na głowę: nie zdejmie go, aż dopiero wieczorem, gdy idzie spać.

Chwilami mam wrażenie, że naród ten — jest to zapewne wpływ rasy rzymskiej — nie jest zdolny, ani do abstrakcyjnego myślenia, ani do metafizyki, ani do mistyki, do której tak są skłonne narody północne i narody słowiańskie (może z wyjątkiem czechów), choć zabobonni włosi są szalenie.

---

[1]) Przypominamy, że bazyliki w Loretto, w Asyżu i w Padwie należą do papieża (W. P. 15 str. 355).

[2]) Że włosi taki właśnie żywią do świata nadprzyrodzonego stosunek, może świadczyć wycinek z pracy Frazera p. t. „Czarodziej, kapłan, król“ drukowany w Nr. 7/30 naszego pisma na str. 23.

[3]) Należy przypuszczać, że gdyby Mussolini dał Włochom co pewien czas piękne widowisko cyrkowe — przestaliby być katolikami.

Boga pojmują naogół zmysłowo. Jest to ktoś w rodzaju papieża, otoczonego kardynałami i prałatami, a kto wie, czy i nie gwardją szwajcarską w czarno-żółtych szarawarach i z halabardami na ramieniu. Kościołów, jak Pan wie, mają mnóstwo: wszystkie jednak są one puste. Napełniają się tylko tłumem w pewne dni uroczyste, jeśli będzie tam procesja lub ładne śpiewy i muzyka. To nie tak jak u nas, w Warszawie. Przez suggestję kościoła, włosi uważają papieża za prefekta Pana Boga, który rządzi na ziemi w imieniu niebios. Uważają więc, że gdy przestaną się modlić, Bóg nie do nich będzie miał pretensję, tylko do papieża, który nie dość, że chciał zrobić rządowi kawał, ale jeszcze na złość il Duce nakazał pozamykać kościoły.

—Kazałeś zamknąc? dobrze, to my ci na złość nie będziemy się modlili — tak mi dosłownie powiedział pewien stary włoch, właściciel sporego pola pod Albano, nie przerywając sobie zbierania fig.

...Ten żywy, impulsywny i zawsze wesoły naród w tym roku dziwnie stracił na humorze, bo i we Włoszech daje się mocno odczuwać ogólny kryzys gospodarczy...

---

[1]) Il Duce (czytaj Ducze) — wódz, popularny tytuł Mussoliniego.

WYSTĘPUJCIE Z KOŚCIOŁÓW I GMIN WYZNANIOWYCH

Treść poprzedniego numeru:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 14.00	miesięcznie zł. 1.20
półrocznie	„ 7.00	zagranicą 2½ dol. rocznie
kwartalnie	„ 3.50	numer pojedyńczy 60 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, telefon 718-14. Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska.** — Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu“**

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Żelazna 56.